
...Aż dojdziemy wszyscy do jedności wiary i poznania Syna Bożego, do męskiej doskonałości, i dorosniemy do wymiarów pełni Chrystusowej...

Energia przebudzenia

— Nastąpi, czy nie nastąpi? Czy te prorocтва są prawdziwe, czy też fałszywe? Czy to naprawdę zapowiedź Boga, czy może tylko wiele szumu o nic? Może to, jak mówią Anglicy, „wishful thinking” czyli nasze pobożne życzenia, albo, co gorsza, jakiś zwodniczy prąd z pogranicza New Age? — Rozmowy wierzących na ten temat przypominają chwilami sprzeczki kibiców sportowych na temat szans wygrania przez ich drużynę kolejnego meczu.

Nie chodzi jednak o gdybanie ani o wróżenie z sufitu, gdyż przebudzenie to nie urojenia ani jakieś nieuchwytnie nastroje, lecz coś, co podlega nienaruszalnym relacjom przyczynowo-skutkowym lub też, inaczej mówiąc, zależy od ścisłego bilansu kosztów i środków. Jeśli jakiś projekt ma zostać zrealizowany, jeśli jakaś praca ma zostać wykonana, to spełnione być muszą określone warunki, potrzebne są też określone środki. Jeśli warunki nie zaistnieją albo środki się nie znajdują, dana rzecz nie dochodzi do skutku. Dotyczy to nie tylko dzieł ludzkich, ale także i spraw duchowych, choć oczywiście każda dziedzina ma inną, właściwą sobie specyfikę.

Przebudzenie potrzebuje energii. Energia to pojęcie z fizyki. Jestem fizykiem i przepracowałem w tym zawodzie 36 lat. Swego czasu rozważałem możliwość napisania książki „Fizyka dla chrześcijan”, gdyż prawa fizyki i prawa duchowe są dziełem tego samego Prawodawcy, toteż ich analogie są bardzo ciekawe i pouczające. Zapraszam więc do poświęcenia chwili uwagi krótkiej lekcji z fizyki, mimo iż zdaję sobie sprawę z tego, że przedmiot ten ogólnie biorąc nie jest lubiany.

Siła, praca, moc i energia to cztery pokrewne pojęcia, nie można jednak ich mieszać i dobrze jest znać różnicę między nimi i ich wzajemne relacje. Naciskając na jakiś przedmiot, przykładamy do niego siłę, dopóki jednak przedmiot się nie poruszy, siła nie wykonuje żadnej pracy. Do tego, by przedmiot przesunąć z miejsca na miejsce, trzeba wykonać pracę. Im jest przedmiot cięższy i im dalej trzeba go przesunąć, tym więcej trzeba wykonać pracy. Praca jest to wynik działania siły na pewnej drodze. Pracą w sensie duchowym jest usuwanie różnych problemów i przeszkód, a także budowanie, układanie

na właściwe miejsca elementów duchowej budowli. Jako słudzy Boży jesteśmy powołani do wykonywania pracy. Potrzebna jest do tego siła, ale nie wystarczy samo naciskanie na przedmioty. Pracą jest dopiero ich przesunięcie. Usunięcie grzechu, niewiary, choroby, wpływów demonicznych i zastąpienie ich elementami nowego życia, ustawianymi na fundamencie, którym jest Chrystus. Dostyc już było „pracy” polegającej na naciskaniu przedmiotów, które przy tym ani drgnęły, wcale nie ruszyły z miejsca.

Wiemy z doświadczenia, że nie wszyscy ludzie są jednakowo zdolni do pracy. Kogoś stać na przesuwaniu tylko małych ciężarów, podczas gdy ktoś inny potrafi uporać się także i z dużymi. Mówimy zwykle, że jeden jest silniejszy, a drugi słabszy, w istocie rzeczy nie chodzi jednak o siłę, lecz o moc. Silny może bowiem szybko zmęczyć się, na skutek czego jego wyteżona praca będzie krótkotrwała. Moc jest to zdolność wykonywania pracy w aspekcie ciągłym, długotrwałym. Większa moc to zdolność przesunięcia w jednostce czasu przedmiotów w większej liczbie lub o większym ciężarze, albo na większą odległość.

W królestwie Bożym nie pracujemy oczywiście w oparciu o własne środki, lecz potrzebne wyposażenie otrzymujemy od Boga. A co konkretnie On nam daje? „Weźmiecie MOC” (Dz 1: 8). Czy to nie wspaniałe? Nie tylko siłę, która nie jest najlepszym miernikiem skuteczności ani wydajności, lecz właśnie moc czyli zdolność wykonywania pracy. Moc duchowa nie służy więc do jakichś efektów pirotechnicznych, fajerwerków, sensacji, szumu, huku czy wrzawy, lecz wyłącznie do wykonywania pracy: przemieszczania duchowych ciężarów, zarówno w sensie negatywnym — do usuwania niepożądanych, jak i pozytywnym — do sprowadzania i wznoszenia cennych i kosztownych. Dzięki tej zdolności jesteśmy w stanie pracować dla Pana nie w trybie krótkotrwałych zrywów, lecz systematycznie, wytrwale, nieznużenie.

— Ale czy otrzymawszy moc Ducha Świętego stajemy się już samodzielni i zdolni do pracy w królestwie Bożym we własnym zakresie? — Po odpowiedź sięgnijmy znowu do fizyki. Nabywszy latarkę, silnik elektryczny czy samochód, stajemy się właścicielami urządzeń, mających określoną moc. Z instrukcji możemy się dowiedzieć, że jest to odpowiednio 25 W, 10 kW i 45 KM. Urządzenia te zdolne są do wykonywania w sposób ciągły określonej pracy w ilości wskazanej przez te liczby. Ale czy mamy już wszystko, aby urządzenia te mogły pracować? Niestety nie. Każde z nich wymaga jeszcze energii. Do latarki wstawić musimy baterie, silnik podłączyć do sieci elektrycznej, a zbiornik samochodu napełnić paliwem.

Energia ma to do siebie, że się zużywa, wyczerpuje. Aby więc

wykonać jakiś zakres pracy, aby korzystać z mocy danych urządzeń, trzeba określonego, dostatecznego zapasu energii, lub też trzeba zapewnić ciągłą dostawę energii przez podłączenie się do jej źródła. Baterie trzeba wymieniać, akumulatory ładować, prąd elektryczny musi bez przerwy dopływać, a zbiornik należy zczasu napełniać. W średniowieczu marzono o mechanicznym „perpetuum mobile”, urządzeniu zdolnym do pracy bez dopływu energii, ale istnienie czegoś takiego jest niemożliwe.

— Czy energia ma swój duchowy odpowiednik? — W Biblii nie znajdziemy tego wyrazu, chyba tylko we współczesnych parafrazach, ale w wielu miejscach, gdzie mowa jest o sile lub mocy, trafniejszym i dokładniejszym z punktu widzenia fizyki tłumaczeniem byłby wyraz „energia” (np. 1Kr 19: 8; Iz 40: 31; Dz 6: 8). Nie sugeruję, by nie używać potocznych terminów „siła” i „moc”, których sens duchowy jest nam dobrze znany, ani nie lansuję wyrazu „energia”. Chciałem jedynie pokazać, że użycie ścisłych terminów fizyki daje pewien wgląd w funkcjonowanie tych mechanizmów duchowych, o których mówimy. Jeśli zastanowimy się nad biblijnymi opisami pracy duchowej ludzi Bożych, dojdziemy do nieodpartego wniosku, że we wszystkich przypadkach, kiedy korzystali z zainstalowanej w nich przez Boga mocy, używali także Bożą energię. Bądź musieli być połączeni z jej źródłem, bądź też na czas ograniczony „naładowani” nią. Duchowe „perpetuum mobile” także jest niemożliwe.

— A co jest tą Bożą energią? Gdzie jest jej źródło i jak można z niego czerpać, aby pracować lub ładować się przed dalszą pracą? — Nie trudno zgadnąć, że źródłem energii duchowej może być tylko sam Bóg, wszechmocny Stwórca wszystkiego. Wyłącznie od Niego pochodzi wszelka energia, zarówno fizyczna, jak i duchowa. Różnica polega tylko na tym, że z energii fizycznej może człowiek w pewnym zakresie korzystać samodzielnie, natomiast po energię duchową musi zwracać się bezpośrednio wprost do Boga, który jest jej wyłącznym dysponentem.

Tak więc źródłem energii duchowej jest sam Bóg i aby z niej czerpać, potrzebny jest bezpośredni kontakt z Bogiem. Wynika z tego, że wykonanie jakiegokolwiek autentycznej pracy duchowej wymaga uprzedniej łączności z Bogiem i że w trakcie wykonywania tej pracy konieczny jest bezpośredni kontakt z Bogiem, co najmniej częsty, a najlepiej ciągły, nieprzerwany. Możemy obserwować to u wszystkich ludzi Bożych zarówno Starego, jak i Nowego Testamentu. Wyposażeni przez Boga mieli moc, ale korzystanie z niej wymagało na bieżąco kontaktu z Bogiem. Wyjątkiem nie był nawet sam Jezus Chrystus (Hbr

5: 7). „Ładowanie akumulatorów” widzimy na bardzo wielu przykładach biblijnych, począwszy od codziennych spotkań z Bogiem Adama i Ewy poprzez patriarchów: Abrahama, Izaaka i Jakuba, Mojżesza, sędziów i wszystkich proroków, aż po Pana Jezusa, spędzającego nocę w samotnej modlitwie, oraz Jego uczniów i członków Kościoła czasów apostoelskich. Puste zbiorniki paliwa widzimy natomiast chociażby na przykładzie Mojżesza w czasie szemrania ludu (4Mo 11: 11–15), Jozuego po klęsce pod Aj (Joz 7: 6), Eliasza pod krzakiem jałowca (1Kr 19: 4), uczniów niezdolnych do wypędzenia demona (Mt 17: 19–21), apostoła Pawła w Azji (2Ko 1: 8–9).

Pod tym samym kątem widzenia można by także prześledzić całą historię Kościoła. Gdybyśmy to zrobili, zobaczylibyśmy żelazną regularność, zasadę bez żadnych wyjątków, wręcz nienaruszalne prawo: Wszelką liczącą się w królestwie Bożym pracę duchową wykonują ludzie, którzy żyją w ścisłej społeczności z Bogiem, których Bóg osobiście oczyścił, powołał, przekształcił, wyposażył, obdarował i wysłał, których na bieżąco napełnia energią z wysokości i którymi na bieżąco kieruje. Wszelkie liczące się w królestwie Bożym rezultaty osiągane są tylko i wyłącznie przy pomocy środków i dóbr duchowych, pochodzących bezpośrednio z nieba, odebranych bezpośrednio od Boga.

— Powiedział, co wiedział. Czyż ktoś może tego nie wiedzieć? Czyż nie słuchamy tego od wielu lat do znudzenia w prawie każdym kazaniu? — Może i słuchamy, ale czy z tego korzystamy? Czy doświadczamy tego Bożego działania, a nade wszystko, czy doświadczamy go w dostatecznej, wystarczającej mierze? Czy dysponujemy na bieżąco Bożą energią na miarę istniejących w królestwie Bożym potrzeb? Nie chodzi o negocjowanie dotychczasowego Bożego prowadzenia i Bożego uzbrajania nas, lecz o wejście w całą pełnię tego, co Bóg ma do dyspozycji i co pragnie nam przekazać. Wiadomo, że Boże prawdy są wielowarstwowe, wielopoziomowe. W pewnym sensie możemy je przeżywać, kiedy jednak dane nam jest odkryć ich kolejny poziom i wejść w jego rzeczywistość, nasze poprzednie przeżycia wydają się bardzo nieadekwatne i blade.

Nie jest żadną tajemnicą, że w okresach duchowej stagnacji nauka biblijna na temat chodzenia z Bogiem, Bożego kierownictwa i korzystania z Jego mocy pozostaje taka sama, ale jej ogólne zrozumienie i towarzysząca jej rzeczywistość jest wtedy taka, że obecność tych elementów bywa zaledwie śladowa, symboliczna, ledwie zauważalna i ledwie odczuwalna, jeśli nie wręcz iluzoryczna, pozorna i nieprawdziwa. „Miarka pszenicy za denara i trzy miarki jęczmienia za denara; a oliwy i wina nie tykaj” (Obj 6: 6). Inaczej mówiąc: niewiele

dobrego do zdobycia dużym kosztem, nieco więcej gorszego takim samym kosztem, a o tym, co najcenniejsze, nie można nawet marzyć. Z braku osób chętnych i zdolnych zapłacić cenę, prawdziwa Boża energia, niebiańskie paliwo racjonowane jest jakby naparstkami lub sączy się do zbiorników jakby kapilarą, toteż nie starcza go na wykonanie żadnej znaczącej pracy duchowej. Jest to tragiczny kryzys energetyczny o zgubnych skutkach. Dla ratowania sytuacji duchowe paliwo zastępowane bywa wtedy namiastkami: cielesną lub duszewną energią intelektu i uczuć, a praca wykonana tymi środkami ma zupełnie inny charakter. Nawet w najmniejszym stopniu nie przesuwają prawdziwych ciężarów duchowych, lecz dotyczą tylko działań w sferze ciała i duszy. Żyjący w takich stosunkach przyzwyczajają się do nich i przeważnie uważają je za normalne lub prawie normalne, ale jest to stan daleki od Bożych możliwości i Bożych planów.

Przełom następuje zawsze wtedy, gdy z łaski Bożej ktoś zdecydowanie zakwestionuje tę „normalność”, odrzuci pozory i namiastki, a wyciągnie ręce po autentyczne wartości duchowe: społeczność z Bogiem, Jego prowadzenie i dostęp do Jego energii, zdecydowany zdobyć je za wszelką cenę, a więc za cenę śmierci własnego „ja”, zaparcia samego siebie i całkowitego, bezwarunkowego zdania się na Boga. Ze Starego Testamentu warto przykładowo wymienić Gedeona (Sdz 6–8), Samsona (Sdz 13–16) i Jonatana (1Sm 14: 1–15). Ludzie ci nie godzili się z istniejącym stanem rzeczy. „Czy nie wiesz, że Filistyńczycy panują nad nami?” — mówiono do Samsona, ale on tego nie akceptował. Ludzie ci chcieli widzieć autentyczną Bożą potęgę, a nie pozory ani namiastki. I widzieli ją, gdyż Bóg takich szuka i zawsze staje po ich stronie (2Kn 16: 9).

Długa lista nowotestamentowych Bożych „generałów” świadczy dokładnie o tym samym. Kiedykolwiek który z nich zobaczył rażącą dysproporcję między Bożą wszechmocą a stanem faktycznym, zakwestionował nie wszechmoc Bożą, lecz stan faktyczny, powstawał i składał swoje ciało jako ofiarę żywą, świętą, miłą Bogu, Bóg odpowiadał. Ludzie ci przebijali się do autentycznej społeczności z Bogiem, do ich życia strumieniem wlewała się Boża energia, a potem na rozkaz Boży szli i dokonywali zdumiewającego dzieła duchowego. Dla nikogo z nich nie było innej drogi, a dla każdego z nich ta właśnie droga okazywała się niezawodna: droga poszukiwania osobistej społeczności z Bogiem w gorących modlitwach, poście i samozaparciu. Wszyscy oni w ten właśnie sposób, przez przebicie się aż przed tron królewski, zdobywali swoje „szlify”. Naczerpana tam, wypełniająca ich energia przenosiła się potem jak ogień na tysiące innych i to właśnie było przebudzenie.

Tak więc środkiem napędowym, paliwem przebudzenia jest właściwie mieszanka, składająca się z Bożej energii i ludzkiego poświęcenia się na Bożym ołtarzu; niebiańskiej oliwy i ludzkiego knota, spalających się równocześnie; Bożego duchowego skarbu i ludzkiego glinianego naczynia, w którym może zostać złożony i wraz z którym może być przez Pana bez ograniczeń używany.

Czy więc istnieją warunki i środki, aby nastąpić mogło przebudzenie? Bilans jest całkiem jasny i oczywisty. Z Bożej strony wszystko jest gotowe. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że Boża energia czeka w nadmiarze i że Bóg bardzo pragnie i zaprasza, byśmy z niej korzystali. Wynika to jasno z Pisma Świętego i zupełnie nie wymaga żadnych dodatkowych prorocत्व na ten temat. Wszyscy mężowie Boży, którzy o tym kiedykolwiek się wypowiedzieli, a których życie i usługa dowodzi, że wiedzą, o czym mówią, zgodni są co do tego, że dziecko Boże ma nieograniczony dostęp do Bożego potencjału duchowego i może z niego czerpać ile chce, jeśli tylko zapłaci cenę — udostępni samego siebie bez reszty Bogu i wytrwa w determinacji przebicia się do autentycznej, bezpośredniej społeczności z Bogiem. To, czy znajdą się teraz tacy, którzy zdecydowani będą toczyć bój z samym sobą aż do zupełnego Bożego zwycięstwa nad nimi, i ilu ich będzie, zależy już od nas samych. Bóg z pewnością takich znajdzie, a właściwie już znalazł i jest takich z dnia na dzień coraz więcej, każdy z nas decyduje jednak o sobiście o swoim w tym udziale.

Trzeba zaznaczyć, że pod względem ilości nie chodzi teraz tylko o powtórzenie poprzednich przebudzeń, kiedy to do potężnych źródeł Bożej energii przebijały się poszczególne jednostki lub bardzo nieliczne grupy. Symbolika starotestamentowa dostarcza nam bardzo ważnej nauki. Pan nakazał Izraelitom, by na samym początku żniwa dokonywali obrzędu potrząsania (w Biblii Tysiąclecia: gestu kołysania) pierwszym snopem z pierwocin zbóż (3Mo 23: 10–11). Kiedy nieco później nastąpiło właściwe żniwo, zbieranych było wiele snopów podobnych do tego pierwszego. Duchowy sens jest taki, że w Bożym dziele przed właściwym żniwem zawsze są najpierw pierwociny. Obrzęd ten przede wszystkim wskazywał więc na Jezusa, którym jako jednorodzonym Synem Bóg w swoim czasie „potrząsał, kołysał” pokazując Go nam jako wzorzec, aby we właściwe żniwa zebrać plon wielu pierworodnych, do Niego podobnych. Z pewnością obraz ten ma jednak zastosowanie także w węższym zakresie. W dziele Bożym nieraz widzimy, że to, co w jednej fazie Bożego działania było „odkryciem” i udziałem zaledwie jednego człowieka lub nielicznych jednostek, w kolejnej fazie stawało się powszechniejsze lub nawet ogólnie dostępne.

Dotyczy to niewątpliwie także naszych czasów i także jakości naszych kontaktów z Bogiem.

Tak więc można i trzeba oczekiwać tego, że co w przeszłości było udziałem tylko nielicznych Bożych „generałów”, którymi Bóg w swoim czasie „kołysał” przed oczyma Kościoła, może i powinno teraz być udziałem bardzo wielu „szeregowych” członków Kościoła. Mamy ich cenny przykład, mamy też w dodatku ich bogate doświadczenia, dzięki czemu możemy ich nie tylko naśladować, lecz także unikać tych potknięć i niepowodzeń, które ich spotykały i które legły cieniem na usługę niektórych z nich. O to bowiem chodzi w długofalowym aspekcie dzieła Bożego, by pierwotny wzorzec został powielony, by początkowe ziarno pszenicy wydało wielokrotny plon. Potwierdza to także Boża zapowiedź, odnosząca się do Izraela, iż „najśbabszy wśród nich będzie w owym dniu jak Dawid, a dom Dawida będzie jak Bóg, jak anioł Pana na ich czele” (Za 12: 8). Z tego jednak wynika, że trzeba nam się spodziewać całkiem nowego w porównaniu z dotychczasowym modelem „szeregowego” chrześcijanina, wypełnionego duchem łaski i błagania (Za 12: 10) i korzystającego z pełni Bożej mocy i chwały. Do „stania przed obliczem Bożym” jesteśmy więc powołani wszyscy, a nie tylko nieliczni. Wszyscy mamy ten przywilej i wszyscy powinniśmy podjąć to wyzwanie.

— Dlaczego tak trudno jest przebić się do społeczności z Bogiem? Dlaczego koszt wydaje się być tak wysoki? Czyżby Bóg zazdrosny był o swoje skarby i niechętnie ich udzielał, albo też chciał, by człowiek czymś na nie zarobił? — Z pewnością nie o to chodzi. Okres walki, poprzedzający wejście do społeczności z Bogiem, spełnia kilka ważnych zadań, z których warto tu wymienić przynajmniej niektóre. Po pierwsze, Boża zwłoka jest pewnym sprawdzianem, czy człowiek rzeczywiście pragnie spotkania z Bogiem nade wszystko, czy gotowy jest poświęcić ze względu na to swoje wygodę, pokonać żądze ciała i wytrwać w swoim zamiarze wbrew wszelkim przeszkodom. Po drugie, walcząc w modlitwie, człowiek poznaje samego siebie, odkrywa swoje słabości, analizuje swoje motywy, a także doznaje przemiany, poddając odkryte w sobie przeszkody uzdrowieńczemu działaniu Bożemu. Po trzecie wreszcie, i to chyba najważniejsze, okres ten służy do specyficznej Bożej pracy nad człowiekiem, której wykonanie jest konieczne, zanim jego naczynie stanie się dla Boga zdatne do użytku, zanim Bóg będzie mógł umieścić w nim swój skarb.

Rozpaczliwe, mordercze wysiłki motyla wydostania się z bunkra poczwarki nie są rezultatem jakiegoś kaprysu czy defektu natury, lecz są bezwzględnie konieczne dla nadania mu niezbednej tężyzny i hartu

dla pokonywania przyszłych trudów życia. Także różne wyrzeczenia i post stosowany jest w tej walce nie po to, by zrobić na Bogu wrażenie, lecz by dopomóc w ujarzmieniu starej, przeciwnej Bogu natury i uzyskać lepszą kondycję do walki duchowej przeciwko szatanowi. Długo i zmusznie powstaje otwór wiertniczy, zanim ostatecznie wytrysną z niego pod dużym ciśnieniem strumienie požądanego, cennego, energośnego płynu.

Wynika z tego, że okresu oczekiwań nie należy uważać za stracony czas ani za zło konieczne, lecz że jest to istotna część procesu wchodzenia do społeczności z Bogiem, ważne przygotowanie do właściwej audiencji przed obliczem Króla. Wszystko, co spotyka człowieka w tym okresie i wszystko, co człowiek sam robi, może mieć ogromny wpływ na rezultat podjętej walki. Współdziałając z Bogiem w tym procesie, człowiek może przyspieszyć jego przebieg i przez to skrócić czas oczekiwania. Nie może to być jednak oczekiwanie bierne, lecz w najwyższym stopniu czynne, gwałtowne dobijanie się do bram niebios z wszelką determinacją, natarczywością i nieustępliwością. Uczniowie w Jerozolimie oczekiwali dziesięć dni. Nam zapewne, ze względu na pogrążenie we współczesnym życiu świeckim, przyjdzie przebijać się nieco dłużej, być może kilka miesięcy. Jeśli jednak nie okazemy pełnej stanowczości, możemy czekać nawet lata, a „walcząc” opieszale, nie osiągniemy celu nigdy.

Naturalnie nie podejmie się tego i nie będzie zdolny do tego nikt, kto gorąco tego nie pragnie, jeśli więc ktoś nie czuje tego gorącego pragnienia, musi zacząć od prośby o to, by zapragnął. Jest też rzeczą oczywistą, że absolutnie niezbędnymi założeniami jest bycie dzieckiem Bożym czyli osobą pojednaną z Bogiem przez ofiarę Jezusa Chrystusa, zdecydowane zerwanie z każdą rozpoznaną postacią grzechu, dostateczna znajomość i posłuszeństwo Słowu Bożemu, jak również przynajmniej pewien stopień dojrzałości duchowej oraz motywów wolne od egoizmu i szukania jakichkolwiek osobistych korzyści.

— Jak rozpoznać autentyczne Boże działanie? Skąd można mieć pewność, że nastąpiło osobiste spotkanie z Bożą, duchową rzeczywistością? — Bóg jest tak nieogarnięty, że nie sposób podać prawie żadnych cech rozpoznawczych. Biblia opisuje mnóstwo takich spotkań, a każde z nich było całkowicie inne. W każdym Bóg odsłaniał zaledwie rąbek duchowej rzeczywistości, za każdym razem inny i niepowtarzalny. Ważne jest jednak to, że Bóg nie pozostawia nikogo w niepewności. Autentyczne spotkanie z Nim jest tak intensywne, że aż druzgocące; tak różne od wszelkich doznań ziemskich, że jego tożsamość nie pozostawia ani śladu niepewności. Jest to zakosztowanie „cudownych

mocy wieku przyszłego” (Hbr 6: 5), kontakt z Bożą chwałą, pozostawiający przeogromne, nieopisane i niezatarte wrażenie. Jeśli więc żywisz jakiegokolwiek wątpliwości, czy doznałeś już dotknięcia Bożego, to najprawdopodobniej nie doznałeś i powinieneś walczyć dalej.

— Co się wtedy dzieje i czego należy oczekiwać? — Pewne elementy spotkania z Bogiem powtarzają się bardzo często, więc można na nie wskazać. Możemy to zrobić krótko w oparciu o relację Izajasza (r. 6). Pierwsze dwie reakcje występują prawie równocześnie i w różnej proporcji. Jest to z jednej strony uczucie zachwytu, wspaniałego uniesienia i niewymownej błogości, z drugiej zaś strony przerażające poczucie własnego zła, brudu i grzechu. To pierwsze towarzyszy kontaktom z Bogiem zawsze, gdyż jest to ludzki sposób odczuwania Bożej chwały, nierozłącznie związanej z Jego Osobą, to drugie zaś jest skutkiem naszego upadłego stanu.

— Jakże to? Człowiek usprawiedliwiony i omyty krwią Chrystusa miałby być zły, brudny i grzeszny? — Tak jest. Oczy Boże są jak płomień ognia. Izajasz zawołał: „Biada mi! Zginąłem!” (w. 5), mimo że był prorokiem i wielokrotnie przedtem z Bożego polecenia sam mówił różnym ludziom i narodom: „Biada!”. Pojęcie czystości ma także wiele warstw i stopni. To, co w półmroku „normalnego” kościoła uchodzi od biedy za czyste, jest w blasku Bożej chwały splugawioną szatą. Zobaczenie tego faktu jest pierwszym nieocenionym dobrodziejstwem dla człowieka, wynikającym z jego kontaktu z Bogiem. Przy tym człowiek widzi te brudy nie ogólnie lecz w szczegółach. Wie dokładnie, o co chodzi. U Izajasza chodziło o nieczyste wargi, u nas zapewne jeszcze o wiele innych rzeczy.

Nie trzeba nawet dodawać, że reakcją człowieka musi być momentalnie głęboka pokuta. Jeśli nastąpi, idzie w ślad za nią z inicjatywy Boga momentalnie gruntowne oczyszczenie (w. 6–7). Dopiero potem Bóg może skierować do człowieka swoją propozycję współpracy, a człowiek może ją usłyszeć (w. 8a). Następną rzeczą jest przyjęcie jej przez człowieka czyli wyrażenie zgody, poddanie swojej woli (w. 8b). Kiedy to nastąpi, człowiek słyszy: „Idź!” Zostaje powołany, wysłany i wyposażony (w. 9–10). Wtedy jest też sposobność do zadawania pytań i otrzymywania Bożych odpowiedzi — przyjmowanie od Boga zrozumienia, wiedzy i obdarowania (w. 11–13).

Ujmując rzecz w skrócie, przebywanie przed obliczem Bożym oczyszcza człowieka, przeobraża i wzbogaca. Jeśli zwykły śmiertelnik zaproszony zostaje na audiencję do kogoś wielkiego, spodziewa się coś odebrać. Cóż dopiero na audiencji u Króla wszechświata! Każda chwila tej społeczności jest dla człowieka rewelacją. Pozbywa się hań-

biących go cech, doznaje przemiany na obraz Bożej chwały i obdarowany zostaje skarbami niebios. Kiedy odchodzi, twarz jego lśni odblaskiem Bożej wspaniałości (2Mo 34: 29-35; 2Ko 3: 18), jego spojrzenie na wszystko jest całkowicie inne, w jego wnętrzu zainstalowana jest Boża moc — zdolność wykonywania pracy duchowej, zbiornik wypełniony jest Bożą energią, niesie także nieocenione dobra dla potrzebujących.

Wszystko to nie jest oczywiście dziełem jednej chwili, lecz zachodzi stopniowo w trakcie przebywania przed obliczem Bożym, które po pierwszym spotkaniu musi być powtarzane i stawać się coraz częstsze, aż w końcu stanie się nieprzerwane. Człowiek nie jest też od razu świadomy wszystkich przemian i dopiero stopniowo odkrywa je ze zdumieniem lub odkrywają je u niego inni. Jednym z pierwszych zaskoczeń bywa całkiem zmieniony stosunek do Słowa Bożego. Każdy jego fragment mówi teraz do człowieka jakby ognistymi głoskami, tak wyraziście i w takiej głębi, jak nigdy dotąd. Człowiek odkrywa zaskoczony, że wszystko to, co czyta, zostało na audyencji u Króla wypisane bez użycia słów na jego sercu (Jr 31: 31-34), teraz zaś ubrane tylko zostaje w słowa, które leczą, syca i budują.

Prawie wszystkie elementy przemiany, jakich człowiek doświadcza, podlegają stopniowaniu — pogłębiają się w miarę pielęgnowania społeczności z Bogiem. Człowiek doznaje więc coraz to nowych przeobrażeń, jego wzrok duchowy wyostriża się, jego zrozumienie wzrasta, mogą też dochodzić nowe elementy jego obdarowania duchowego. Wymaga to oczywiście trwania przed Bogiem i posłuszeństwa objawianej sobie prawdzie — odrabiania kolejnych lekcji przed obliczem Bożym. Tragedią jest zatrzymanie tego procesu przez cielesną wygodę, niedbalstwo lub nieposłuszeństwo. To właśnie jest powodem staczania się do tej koszmarnej „normalności” odstępstwa. Wielu z nas doznaje autentycznego Bożego dotknięcia na początku swojej drogi, jesteśmy jednak winni nie stawiania się na kolejne audyencje przed Bogiem, co nieuchronnie prowadzi nas do stagnacji duchowej i cofania się.

— Jak długo ten proces ma być kontynuowany? — Proces utrzymywania społeczności z Bogiem nieprzerwanie przez całe życie, zaś proces usilnego przebijania się do tej społeczności po prostu tak długo, dopóki jego rezultaty nie będą adekwatne do otaczających nas duchowych potrzeb. Dopóki nękają nas objawy cielesności, dopóki daje się nam we znaki nasze „ja”, dopóki brak nam Bożej mądrości, dopóki nie znamy swojego powołania, nie otrzymujemy dostatecznie wyraźnych, konkretnych odpowiedzi na dręczące nas pytania i jesteśmy bezradni wobec stających przed nami wyzwania, nie możemy spocząć ani pogo-

dzić się ze swoim stanem stosunków z Bogiem. Każda nasza porażka pod Aj jest niezmiernie groźnym symptomem i powinna na nowo rzucić nas na twarz przed Bogiem w usilnym błaganu o Jego ratunek aż do skutku, gdyż pogodzenie się z takim stanem spycha nas od razu z pozycji zwycięskiego życia duchowego do „normalności”, nacechowanej bezsilnością i stagnacją. Jeśli Bóg przestał odpowiadać, jeśli nasze wkładanie rąk jest bezskuteczne, jeśli z naszego gromienia wróg się śmieje, to jesteśmy na pozycji spalonej, w sytuacji w najwyższym stopniu alarmującej. Przechodzenie nad dowolnym upadkiem, grzechem, porażką do porządku dziennego jest dezercją i klęską o katastrofalnych skutkach duchowych, kładącą kres naszej społeczności z Bogiem i przebudzeniu, i rzucającą nas z powrotem w religię udawania, obłudy i namiastek, winniśmy więc wystrzegać się tego tak samo zdecydowanie, jak upadku w przepaść czy innego nieszczęścia, grożącego śmiercią.

Nie sprostamy oczywiście sami wszystkim wyzwaniom, gdyż moc każdego silnika jest ograniczona. Samochód osobowy nie pociągnie przyczepy ciężarowej, mimo iż jego zbiornik napełnimy po brzegi. Bóg może wprawdzie zwiększyć także moc naszego „silnika”, prościej jednak bywa połączyć swoje siły i przesuwać szczególnie duże ciężary duchowe zbiorowo, walcząc przed Bogiem wspólnie jako Kościół. Wspólnie musimy też usługiwać sobie wzajemnie, gdyż dane nam przez Boga skarby nie są przeznaczone dla poszczególnych osób, lecz właśnie dla budowania wspólnoty Kościoła. Jeśli kilka osób we wspólnocie podejmie świadomie walkę o przebicie się do źródła Bożej energii duchowej, rezultaty niebawem zaczną być widoczne. Jeśli zaś udział w tym weźmie znacząca część lub dołączać będą coraz to nowi, ogólny stan duchowy wspólnoty poprawiać się będzie coraz szybciej.

Przejawi się to we wszystkich dziedzinach: w jakości, aktualności i skuteczności głoszonego Słowa, w autentyczności uwielbienia, w spontaniczności dzielenia się przeżyciami, w zaskakujących świadectwach o rozwiązaniu różnych problemów, w usuwaniu zastarzałych bolączek i urazów, w powrocie tych, którzy oddalili się od wspólnoty i w wielu jeszcze innych szczegółach. Ogólnie można powiedzieć, że wzrasta wtedy zauważalnie dla wszystkich temperatura duchowa, przestaje być w sensie duchowym zimno, a zaczyna być coraz cieplej, a nawet w pozytywnym sensie gorąco. Powoli ponura „normalność” zaczyna ustępować miejsca rzeczywistej normalności — obecność Boża jest coraz wyraźniej odczuwalna, chwała Boża powraca.

W szczególności przejawia się to po pierwsze tym, że ludzie jako podmioty są coraz mniej widoczni, a coraz bardziej podmiotem staje się sam Pan. Z góry przyjęty program zostaje bardzo często zakłó-

cony zaskakującymi dla wszystkich modyfikacjami, nie zaplanowanymi przez nikogo z ludzi. Po drugie, „uwielbienie” przestaje być potrzebne i przestaje być stosowane jako środek, mający stymulować wchodzenie do społeczności z Bogiem, ponieważ poszczególne osoby duchowo „gorące”, czyli pozostające z Nim w społeczności i wypełnione duchową energią, już wchodząc wnoszą ze sobą prawdziwe uwielbienie, wybucha więc ono od razu całkiem spontanicznie, nawet zanim jeszcze rozpocznie się spotkanie. Po trzecie wreszcie, obecność Boża nie bywa dopiero „przywoływana” ani „wpompowywana” w uczestników w trakcie spotkania, lecz przychodzi wraz z nimi, może więc być z wielką intensywnością i niezaprzeczalną pewnością odczuwana i doświadczana. Sam Bóg może usługiwać wtedy zgromadzonym w różnoraki sposób, posługując się nimi jak klawiszami na fortepianie i powodując wypływanie z nich niebiańskich skarbów, jakimi obdarzył ich w prywatnych audiencjach, kiedy trwali przed Jego obliczem. Ma wtedy miejsce przepływ tych niebiańskich dóbr i stają się one udziałem tych, którzy w tym Bożym działaniu nad wspólnotą uczestniczą.

Aby nie zakłócić tego przepływu i nie pozbawić się w nim udziału wierni na bieżąco, nawet w drodze lub przed wejściem na miejsce spotkań oczyszczają się starannie, wyznają sobie wzajemnie upadki, nieczyste słowa, myśli czy spojrzenia, wiedząc, że w obecności Pana świadomość o nich byłaby nie do wytrzymania. Radykalnie zmienia się stosunek do świata, gdyż oczy duchowe widzą w nowy sposób jego zepsuty, upadły stan, staje się więc człowiekowi wierzącemu emocjonalnie obcy, a nad jego perspektywą zguby dręczy się i boleje. Dlatego spontanicznie powstają różne formy pracy na zewnątrz, spontanicznie powstaje potrzeba spotykania się codziennie, zwykle w bardzo wczesnych godzinach rannych, spontanicznie rozwija się twórczość literacka, poetycka i muzyczna, bardzo prosta w formie, lecz niezrównana pod względem głębi treści, gdyż ogarnięte, przepelnione i rozsadzane miłością Bożą serca muszą dawać jakiś upust swoim głębokim uczuciom. Pieśni uwielbienia rozbrzmiewają we dnie i w nocy nie tylko na spotkaniach, lecz w domu, na ulicy, w miejscach nauki i pracy, w środkach transportu, słowem wszędzie. Pieśni i słowa ludzi przepelnionych chwałą Bożą na miejscach publicznych oddziałują jak pochodnie rozrzucone w suchym lesie — powodują, że spontanicznie wybuchają coraz to nowe ogniska zapalne, tak że przebudzenie jak pożar w krótkim czasie ogarnąć może rozległy teren.

Kiedy proces oczyszczenia stanie się wystarczająco zaawansowany, pojawiają się spontanicznie także znaki i cuda, i może to mieć miejsce nawet w takim zakresie, że przestają one wywoływać jakąkolwiek sen-

sację, a traktowane są jako coś całkiem naturalnego. Nie są one dziełem jakichś szczególnych wybrańców, lecz Bożym narzędziem mogą być zwykli wierni, ojcowie, matki, a nawet młodzież, którzy z wiarą, w oparciu o obietnice Słowa Bożego, ważą powoływać się na potęgę imienia Chrystusa, a ich oczyszczone i uświęcone życie nie stanowi przeszkody dla Bożej ingerencji. Wtedy dopiero definicja tych, którzy uwierzą, podana przez Jezusa (Mk 16: 17–18), okazuje się być w pełni prawdziwa.

Jeśli zaistnieją takie stosunki, bardzo szybko koniec biorą najróżniejsze objawy cielesności, bierność członków, ich niechęć uczestniczenia w spotkaniach, niechęć dawania, bardzo szybko ulatniają się pozornie wierzący i wszyscy ci, którzy przychodzą kierowani wszelkiego rodzaju innymi motywami, kres biorą także obmowiska i najróżniejsze wzajemne pretensje, kończy się też era manipulatorów i kontrolerów, usiłujących trzymać innych pod swoim wpływem, odpada cała masa różnych efektów i pozorów, będących namiastkami, a powracają dawne, kosztowne, sprawdzone i wypróbowane wartości duchowe i formy pracy, które w poprzednim okresie „zjadła szarańcza, konik polny, larwa i gąsienica” (Jl 2: 25) — które uległy wyrugowaniu przez cielesność odstępstwa. Kres biorą wszelkie formy zachowań typu łąpu-capu: niedbalstwa, krnąbrności i samowoli, a także najróżniejsze postacie marnowania czasu, jak wysiadywanie przed telewizorem, głupawa paplanina czy podsycające egoizm gry i zabawy, gdyż nikt nie chce tracić ani chwili na jałowe cielesne hocki-klocki, mogąc zamiast tego upajać się niewyobrażalnie wspaniałą i kojącą atmosferą niebios. Przebywanie w nieprzystępnej światłości Bożej chwały tak wysubtelnia wrażliwość moralną na każdy, najmniejszy nawet brud, że owocuje to życiem niezrównanej czystości, zacności i szlachetności, co wywiera uzdrowieńczy wpływ na całe otoczenie.

— Ale ciągle jeszcze nie było mowy o przebudzeniu. Przecież przebudzenie to w powszechnym pojęciu przede wszystkim przychodzenie i nawracanie się wielu nowych ludzi, masowe chrzty wiary, gwałtowny wzrost liczby kościołów, powstawanie nowych, potężne ewangelizacje, znaczący wpływ duchowy na całe społeczeństwo. — Niewątpliwie to także może i powinno nastąpić, ale na pewno nie może to nastąpić w pierwszej kolejności, nie nastąpi przed wszystkim tym, o czym mowa była powyżej. Powodem zastoju w ewangelizacji jest głównie niska temperatura kościoła. Przywrócenie normalności w samym Kościele jest koniecznym warunkiem poprawy na tym odcinku.

Masowe nawrócenia ruszają dopiero wtedy, kiedy Kościół staje w płomieniach. Wtedy bowiem tylko może mieć miejsce scenariusz

nowotestamentowy, kiedy ludzie przeszyci do głębi swoich serc pytają sami, co mają czynić (Dz 2: 37) lub sami padają na twarz i wyznają: „Prawdziwie Bóg jest pośród was” (1Ko 14: 24–25). W gorącym Kościele nie może być inaczej, gdyż wtedy sam Pan pomnaża liczbę tych, którzy mają być zbawieni (Dz 2: 47). Nie potrzeba wtedy wielu wysiłków, gdyż to nie elementy intelektualnego ani emocjonalnego oddziaływania, lecz przepływ energii duchowej jest impulsem i motorem przemiany. Dzięki temu nawróceni nie tylko stają się podopiecznymi danego ugrupowania, lecz autentycznie rodzą się do królestwa Bożego. W gorącej atmosferze i w obfitości usług różnorodnymi dobrami duchowymi mają wtedy wspaniałe warunki szybkiego wzrostu i dojrzewania duchowego, co umożliwi im rychle pełne włączenie się w to duchowe ciało Chrystusa i uczestniczenie we wszystkich przejawach jego obfitego życia.

W tak odnowionym i tak przeobrażonym Kościele nie wszystko oczywiście odbywa się bezproblemowo. Problemów będzie cała masa, ale są to problemy innego rodzaju i charakteru. Nie są to problemy zastoju, lecz problemy rozwoju, ponadto zaś środkiem do ich rozwiązania jest obecna w Kościele potęga Boża, a nie możliwości ludzkie, co stanowi kolosalną różnicę. Ponieważ potężnym przeżyciom duchowym towarzyszą nierozłącznie mocne wtórne reakcje duszeczne, mogą pojawić i nieraz pojawiają się najróżniejsze przegięcia, toteż artykułem nad wyraz pożądanym i istotnym jest rozważa i wykonywanie wszystkiego w atmosferze trzeźwości i spokoju. Jeszcze raz mocno wypada podkreślić, że moc to zdolność wykonywania pracy, a nie wiecowanie, chaotyczne zrywy ani nieprzytomne ekscesy.

Niewątpliwie będąc nieprzyzwyczajeni do takiego normalnego funkcjonowania Kościoła, nie jesteśmy w stanie tego sobie wyobrazić, co stwarza poczucie niepewności i rodzi liczne wątpliwości. Jedynym i właściwym na to sposobem jest szukanie mądrości i rady u Boga i pozostawienie w Jego rękach sterów tej sprawy, a wtedy o wynik możemy być spokojni. Mimo wszelkich wątpliwości nie ulega bowiem żadnej kwestii, że to nie nasza dotychczasowa „normalność”, lecz właśnie takie przebudzenie jest normalną, zdrową, biblijną postacią chrześcijaństwa i Kościoła.

Trzeba podkreślić, że aby przebudzenie spełniło swój cel, jego wynikiem muszą być przeobrażenia trwałe, a to wymaga spełnienia pewnych warunków. Po pierwsze, zachodzących zmian nie można traktować jako czegoś przejściowego, jako jakiejś anomalii, ograniczonego w czasie zawirowania, chwilowej utraty równowagi, które minie i wszystko wtedy wróci do normalnego stanu. Po drugie, co za tym idzie,

nie można w uniesieniu i fascynacji przebudzeniem zapomnieć i zaniechać zwykłych, prozaicznych czynności i obowiązków jak nauczanie Słowa Bożego i zasad życia praktycznego, praca duszpasterska, praca nad dziećmi i młodzieżą, administracja i wiele innych. Przebudzenie wpłynie niewątpliwie na ich tryb i kształt, ale musi to być wpływ konsolidujący, podnoszący ich jakość i skuteczność. I po trzecie, szczególną opieką duchową otoczyć należy tych, którzy nawrócili się w trakcie przebudzenia, gdyż stykają się oni z mocą i chwałą Bożą niejako z drugiej ręki, nie uczestniczyli osobiście w tym przebijaniu, przełamaniu się do jej źródła, a zatem nie zdobyli tężyzny i hartu, skoro nie stacali sami tego boju, lecz skorzystali ze zwycięstwa innych. Ślężacy mawiają: „Jako nabyte, tak pozbyte.” Jeśli tacy nie zahartowaliby się sami duchowo, byłiby chrześcijanami mniej odpornymi, bardziej narażonymi na różne zagrożenia. Na skutek tego w następnym pokoleniu Kościół znów byłby słabszy, a z czasem, tak jak w przeszłości, ponownie podatny na odstępstwo. A Pan Kościoła niewątpliwie nie chce, by ten bolesny scenariusz jeszcze raz się powtórzył.

— Jak temu zapobiec? Jak zapewnić przebudzeniu nieograniczoną w czasie trwałość, a Kościołowi nieograniczone w czasie zdrowie, skoro już tak wiele razy to się nie powiodło? Czy jest na to jakiś środek? — Historia zna tylko jeden skuteczny środek, dający taki rezultat. Niestety, jak wiele skutecznych lekarstw, jest on bardzo gorzki. Jest nim ucisk i prześladowanie. Ale czy koniecznie będzie on potrzebny? Może nie, a w każdym razie zapewne nie na długo, gdyż dojrzałe zbiory nie są przeznaczone do tego, by pozostawać na polu, gdzie dojrzewały. Jak tylko pszenica dojrzeje, zostaje zebrana i zwieziona do gumien. A wtedy nic już jej nie zagraża. To, czego przedsmak przeżywamy w przebudzeniu, przeżywać potem będziemy przez całą wieczność.

Czas więc na konkretne, osobiste decyzje. Każdy musi postanowić, czy przyjmuje wyzwanie i włącza się w to Boże działanie zarówno biernie jak i czynnie, czy też chce pozostać obserwatorem i kibicem lub może tylko komentować i krytykować. Kto powie „tak”, będzie musiał poszukać swojego miejsca, ugiąć kolana i zakasać rękawy. Jeśli ktoś jest już czynny w Bożym dziele, to wykonać szczerą, gruntowną remanent, poddać jego rezultat osądowi swojego Mistrza, a potem podjąć walkę o „lepsze dary” dla zbudowania innych. Kto miał już do czynienia z obecnością Bożej chwały, winien „naprawić zburzony ołtarz” i przystąpić do ponownego składania na nim ofiar. Jeśli nie, to odpowiedzieć na Boże wezwanie i złożyć swoje ciało jako ofiarę żywą, a potem w wytrwałej, usilnej prośbie oczekiwać, aż ogień Boży ją zapali.

Wszystkich jednak bez wyjątku obowiązuje potrzeba nie zadowalania się aktualnym stanem swojej duchowości, stosunków z Bogiem i usług, a wchodzenia głębiej, usilnego przełamywania się do kolejnych warstw oczyszczenia, śmierci swojej starej istoty i ofiarowania samego siebie na Bożym ołtarzu, a tym samym wspinania się na kolejne poziomy Bożej obecności, prowadzenia przez Ducha, uzbrojenia duchowego i korzystania z Bożej mądrości i mocy. Słyszysz się, że Bóg mobilizuje swoją armię i przebudzenie nie obejdzie się bez potężnej Bożej armii, nie chodzi jednak o armię manifestujących z transparentami i wykrzykujących hasła, lecz o pełnych samozaparcia modli-cieli, sprzeciwiających się grzechowi i swojej cielesności aż do krwi, ze stwardniałą skórą na kolanach i oczami napuchniętymi od bezsenności i łez. Tacy i tylko tacy mogą spowodować, że tryskać będą strumienie Bożej energii, potrzebnej do przebudzenia, że napełniać się będą puste zbiorniki, że ładowane będą akumulatory. Boże zasoby dóbr duchowych są nieprzebrane. Ale czy znajdują się ich odbiorcy? Przy takim podejściu przebudzenie jest pewne, przy jego braku — niemożliwe.

Taki więc w skrócie mamy przed sobą bilans kosztów i środków przebudzenia. Wiemy, o co chodzi i ile za to jest z naszej strony do zapłacenia. Czy to dużo, czy mało? Aż tyle, czy tylko tyle? Każdy z nas stoi przed tym pytaniem i musi na nie sobie odpowiedzieć. Kiedy dwunastu zwiadowców przeszpiewowało Kanaan, zdania co do kosztu jego zdobycia były podzielone. Dziesięciu było zrozpaczonych tym, że to aż tyle, dwóch natomiast było zachwyconych tym, że to tylko tyle.

— Czy teraz też tak będzie? — O nie! W żadnym wypadku! To już przerabialiśmy! Tak już było, a miało to miejsce prawie dokładnie czterdzieści lat temu. Oglądaliśmy wtedy wspaniałe grona winne Ziemi Obiecanej i kosztowaliśmy ich smaku. A potem większość powiedziała „nie”, więc zawróciliśmy do „normalności” wędrowania po pustyni. Bardzo niewielu pozostało tych, którzy to pamiętają. Ale teraz jest już inne pokolenie. Wyrosli nowi ludzie i dziś ponownie stoimy w tym samym miejscu. Lecz tym razem ciąg dalszy będzie inny. „Poświęćcie się, bo jutro Pan dokona wśród was cudów” (Joz 3: 5).

Józef Kajfosz